CZWARTEK Nr 50 26 IV 1984 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

- Więcej ich jest, czy mniej? • Wyginą, czy pozostaną ozdobą polskiego krajobrazu?
- Jak odnoszą się do nich ludzie? • Ile jest prawdy w starych bajkach na ich temat?
- Czy potrafimy im pomóc? – pytają ornitolodzy

Wiosną b. roku po raz drugi w Polsce rusza

Inwentaryzacja białych bocianów

FACHOWCY ZAPRASZAJĄ DO WSPÓŁPRACY MIŁOŚNIKÓW PRZYRODY!

• **Dla harcerzy – szansa zdobycia sprawności przyrodniczych • Dla ptakolubów – możliwość nawiązania kontaktu z ornitologami-zawodowcami • Dla wszystkich – duża przyrodnicza przygoda!**

„Świat Młodych" patronuje akcji na terenie województwa warszawskiego.

Zadanie jest proste. Trzeba znaleźć na wybranym terenie wszystkie gniazda bocianie i o każdym napisać.

★ **JAKI JEST „ADRES" GNIAZDA? (gmina, miejscowość, numer gospodarstwa, w którym się znajduje)**

★ **NA CZYM JEST UMIESZCZONE (dach, komin, słup, drzewo, stóg itp.)**

★ **CZY W TYM ROKU PTAKI ZAJMUJĄ GNIAZDO? (a więc – czy wysiadują, czy mają młode?)**

SZCZEGÓŁOWA INSTRUKCJA WRAZ Z TABELKĄ – NA STR. 6

Gazeta wietnamskich pionierów organizuje międzynarodowy konkurs rysunkowy pn.

NIECH WSZYSTKO SIĘ ZIELENI

Jesienią tego roku gazeta pionierów wietnamskich „Thieu nien Tien Phong" obchodzić będzie swoje 30-lecie. Z tej okazji redakcja pisma ogłasza międzynarodowy konkurs rysunkowy, do którego zaprasza również Czytelników „Świata Młodych".

W konkursie mogą brać udział dzieci i młodzież w wieku od 3 do 15 lat. Formy wyrazu bardzo różnorodne: ołówek, akwarela, gwasz, olej, mozaika papierowa, tkanina, płaskorzeźba w drewnie, wycinanka, rzeźba. Formaty rysunków 60×50 cm.

Prace powinny być opisane; należy podać: tytuł dzieła, imię i nazwisko autora, wiek, narodowość, dokładny adres. Ostateczny termin nadsyłania prac organizatorzy określili na 30 czerwca 1984 r. Podajemy adres:

„THIEU NIEN TIEN PHONG"
15 Ho xuan Huong
Hanoi – Wietnam

Rozstrzygnięcie konkursu oczekiwane jest w październiku br. Jego zwycięzcy otrzymają medale, dyplomy, upominki.

Nagrodzone prace będą wystawione, a następnie wydane w formie albumu. **(mj)**

NAUKA I PRAKTYKA

patrz str. 4

Fot. J. Łopuszyński

„SERCE" AMICISA ZOSTANIE SFILMOWANE!

WŁOCHY (PAP). Z dość bogatej spuścizny twórczej Edmondo de Amicisa największą popularność zdobyła powieść dla młodzieży „Serce". Ale z biegiem lat przestano do niej zaglądać, postanowił więc ją wskrzesić na ekranie znany włoski reżyser Luigi Comencini, który ma już na swym twórczym koncie udaną adaptację „Pinokia" Collodiego. Comencini zabrał się do pracy z wielkim rozmachem, budując na rozległych przestrzeniach wytwórni „Cinecita" pejzaże ubiegłowiecznego Turynu, angażując tłum małych i dorosłych statystów oraz renomowane gwiazdy. Ciekawe jaki będzie efekt... **(eb)**

NIE ŚWIĘCI GARNKI LEPIĄ

ŁÓDŹ (PAP). W łódzkim Domu Kultury Ludowej powodzeniem cieszy się zorganizowana niedawno pracownia ceramiczna. Wyposażono ją we wszystkie niezbędne urządzenia – łącznie z oryginalnym kołem garncarskim, piecem do wypalania itp. Pod kierunkiem fachowców, m. in. etnografa – młodzież wykonuje tu z gliny garnki oraz inne naczynia użytkowe wzorowane na ludowych, a także rzeźbione w glinie i wypalane figurki diabłów i innych fantastycznych postaci, znanych z baśni i legend różnych regionów kraju. **(eb)**

NA TURNIEJOWEJ TRASIE

Jest czwartek, późne popołudnie. Słońce przygrzewa prawie wiosennie, radośnie. I tak samo czują się wszyscy, których specjalny rozkaz wodza-drużynowego zgromadził na krzeczyńskim boisku. Wiedzą już, w czym rzecz: dziś zaczynamy nasz udział w XV Turnieju Wiedzy Obywatelskiej. Grupa zielonych i szarych mundurów wciąż się powiększa. Ze wszystkich stron dobiegają gromkie pozdrowienia: Czuwaj!...

Została jeszcze mała chwilka do rozpoczęcia odprawy. Rozglądam się wokół; tak mi lekko i fajnie na duszy, gdy widzę, ilu „Słowian" przybyło na zbiórkę. Zerkam ukradkiem na zegarek: czas zacząć! Godzina 16.00. Wyciągam gwizdek, daję sygnał do zbiórki i... dopiero teraz rozumiem, dlaczego tak bacznie obserwowali mnie ludzie z zastępu VI (który jest na okresie próbnym). Prawie natychmiast po gwizdku mam przed sobą wyprężony na baczność zastęp. I jakże się nie uśmiechnąć widząc ponadto, że nawet „harcerskie wygi" potrzebowały około minuty, aby odnaleźć swe miejsca w szeregu...

Zwykła, oficjalna część odprawy: okrzyk, meldunki zastępowych o gotowości do wykonania zadań (zastępy miały dwa dni na wybór zadania i opracowanie planu jego realizacji). I jak to zwykle bywa podczas pracy „na żywo", powstała konieczność pewnych zmian. Z powodu szczupłego stanu liczebnego niektórych zastępów zmuszony byłem do utworzenia czterech grup. Pierwsza wybrała sobie z 17 zadań TWO „Wiosenny patrol", kolejne: „Uśmiechnięty miś" i „Nasza szkoła". Ostatnie zadanie podjęły dwie grupy (na dwa rozmaite sposoby). Do trzech z grup przydzieliłem po dwie osoby z zastępu próbnego, który powstał dopiero przed paroma dniami. Jego członkami są uczniowie klasy IV, a więc ci, którzy od swych starszych druhów i druhen mogą się wiele nauczyć.

Godz. 16.30. Ostatnia grupa odmeldowała swój wymarsz w teren. Na boisku pozostałem sam, z zegarkiem w ręku i obietnicą, że skontroluję pracę wszystkich grup. Ot, westchnąłem: Połazisz sobie, druhu drużynowy... Czas powrotu wyznaczyłem na 18.00.

Jako pierwszą odnalazłem grupę Staszka. Trasa ich wędrówki wiodła przez las i zagajniki, gdzie tropili miejsca zagrożone ekologicznie i pożarowo. Co pewien czas zastępowy zatrzymywał się i na plecach któregoś z harcerzy wpisywał wspólnie omawiane uwagi do karty zadania. Inny członek patrolu uzupełniał na bieżąco szkic trasy. Wyniki tych prac zostaną przekazane straży pożarnej i szkolnemu kółku LOP-u. Na leśnej piaskownicy całkiem niespodziewanie natknąłem się na ludzi „Uśmiechniętego misia". Postanowili właśnie tu, w leśnej ciszy obmyśleć plan wesołej zbiórki dla najmłodszych. Długo, długo myśleli. Wreszcie rozciągnięty na mchu harcerz, który wspaniałomyślnie oddał swe plecy na potrzeby zastępu, zerwał się ze skargą: „Ja tu już leżę pół godziny, a oni napisali tylko parę literek..." (?!)

Grupę, która wybrała sobie zadanie „Nasza szkoła", odnalazłem w chwili, gdy zakończyła wywiad z nauczycielką, pamiętającą pierwsze powojenne lata Krzeczyna. Miny uśmiechnięte, przekrzykują się wzajemnie. Więc – wywiad się udał. Zadanie to realizowali również chłopcy: poszli odnaleźć miejsce, gdzie istniała pierwsza po wojnie szkoła.

W umówionym miejscu zbiórki zjawiłem się jako pierwszy i ciekaw byłem jak grupy poradziły sobie z wykonaniem zadań. W ostatnim czasie praca drużyny nabiera rozpędu: Kampania „Bohater", Odznaka Chorągwiana, 35-lecie Hufca Lubin i wreszcie – XV TWO. Trochę tego dużo? – to nic. Udało nam się bardzo fajnie powiązać wszystkie zadania, które wzajemnie się uzupełniają. Więc na początek – optymizm. Cóż jeszcze? – idzie wiosna...

Na parę sekund przed czasem mam już wokół siebie trzy grupy ze „słowiańskiej" drużyny. Zaczyna się robić szaro i chłodno, a na to jest rada jedna: robimy kółeczko i pląsamy „Laurencję". Czwarta grupa skorzystała z czasu awaryjnego i zjawiła się biegiem dziesięć minut po szóstej. Następnie odbieram krótkie raporty i karty zadań. Potem, jako że „Już do powrotu głos trąbki wzywa" – stajemy w kręgu, do którego wpuszczam harcerską iskrę przyjaźni. „Słoneczko już gasi (ło) złoty blask", gdy „Słowiańska gromada" rozbiegła się we wszystkie strony, do domów, powtarzając raz jeszcze:

Czuwaj!

Piotr Pilawa
korespondent HSI „ŚM"

Wszystkiemu winna zima, czyli...

WIELKA ROZPRAWA NA WIELEŃSKIM BOISKU

Dnia 20 marca żegnaliśmy zimę. Przygotowywaliśmy się do tego w tajemnicy. Chcieliśmy, żeby była to niespodzianka. I tak właśnie było.

Na pierwszej lekcji Jurek „Żaba się goli" wpadł do klasy jako policjant i odczytywał zdumionym uczniom „Komunikat nr 1". Strasznym głosem czytał, że na „Gimeli" wieleńskiej leży Śmiercicha-Zima i śpi po nocnej hulance. I że Deptusy wysłały tam swoich komandosów i karateków, żeby ją złapali. W szkole zawrzało, a maluchy to całkiem w to uwierzyły, uczyć się nie mogły z przejęcia, co dalej będzie.

Na początku drugiej lekcji policjant latał po klasach z „Komunikatem nr 2". Już na niego wszyscy czekali. Teraz policjant ogłaszał, że komandosi złapali Zimę, i że w czasie przerwy przyprowadzą ją przed sąd na boisko. Wtedy w II klasie zepsuł się zamek i nie dało się otworzyć drzwi. Policjant został uwięziony. Musiał zdjąć hełm z głowy i wyleźć przez to wąskie okno u dołu dużego okna. Uradowane maluchy podały mu potem hełm przez okno. Policjant poszedł zameldować o tym panu dyrektorowi i pan dyrektor naprawił zamek w drzwiach II klasy.

W czasie przerwy wszyscy pognali na boisko. Policjant zawołał:

– Proszę wstać, sąd idzie! – i zadzwonił dzwonkiem pani woźnej.

Wszedł Wysoki Sąd – sędzia, ławnicy, prokurator, adwokat. A policjant zawołał:

– Wprowadzić oskarżoną!

Komandos Pypa i karateka Urban, strasznie śmiesznie ubrani, wprowadzili wierzgającą Zimę. Była ona biała, a na głowie swojej, zasłoniętej, miała drugą głowę z czaszki wypożyczonej z gabinetu biologicznego. Zaczęła się rozprawa sądowa. Sędzia Miłosz powiedział co się stało i oddał głos prokuratorowi Andrzejowi Ucho. Prokurator się strasznie zdenerwował i wrzeszczał na całe boisko, że Zima jest wszystkiemu winna i wszyscy przyznawali mu rację. Na przykład:

– Kto jest winien, że druhna Sobańska razem z Robertem Urbanem i Tomkiem Krępułą zamiast w górze śniegu wylądowali w kupie gnoju?

A wszyscy odpowiadali: Zima!

– Kto jest winien, że w naszej szkole nie możemy zobaczyć żadnej zgrabnej damskiej nóżki, bo wszystkie odziane są w grube getry i przypominają nogi słonia?

A wszyscy z krzykiem: Zima!

– Kto jest winien, że kiedy Cipa jechał kuligiem po piasku, zamiast po śniegu, to mu się z jednych sanek zrobiły dwie pary?

A wszyscy: Zima!

Prokurator domagał się kary śmierci. Wtedy Zimę wziął w obronę pan mecenas Gucio Wodecki. Bronił Zimy bardzo wzruszająco:

– Co Wysoki Sąd chce od tej Zimy? Czy ona może być posądzona o takie przestępstwa? Taka miła osoba (a Zima zaraz się wyprostowała i poprawiła ubranie) ...Takie ma niewinne oczy, uśmiech śliczny. (Nie bardzo te oczy były piękne, bo głową jej była czaszka, gębę miała otwartą i duże dziury po oczach) ale Zima się przymilała jak mogła. Śniegu nie dała, ale to nie jej wina, tylko kryzysu, bo nie było dewiz na komponenty zagraniczne, więc z krajowych surowców udało się jej zrobić tylko buble śniegowe.

Wtedy Wysoki Sąd udał się na naradę, a my wszyscy do klas. Żadne dziecko nie mogło spokojnie wysiedzieć na lekcjach. Nareszcie dzwonek. Każdy biegł na łeb na szyję na boisko. Znowu wprowadzono Wysoki Sąd i oskarżoną. Sędzia ogłosił wyrok: kara śmierci! Gdy to Zima usłyszała – rozległ się kwik, pisk i Zima zaczęła szaleć. Rzucili się do niej karatecy, komandosi i kat. Ale ona się nie dawała! Jak złapała za łeb kata – Mariusza, to mu czerwony kaci kapturek tak przekręciła, że kat oślepł i zaczął krzyczeć:

– Nie mam oczu, gdzie są moje oczy?!

Wszyscy rzucili się mu do pomocy, biegali wkoło niego i przekręcali mu ten kaptur raz w jedną, raz w drugą stronę. Tymczasem komandosi pokonali Zimę i położyli jej głowę pod topór kata. Zima zaczęła krzyczeć: – Ty kacie, jeszcze ci pokażę, zobaczysz przyjdę do ciebie wieczorem, zobaczysz!

Mariusz zamierzył się do ścięcia jej głowy, ale ... zatrzymał halabardę. Sprawdził, gdzie się kończy czaszka, a zaczyna głowa Krzycha Pietrasa, żeby czasem naprawdę Krzychowi nie odciąć głowy. Po chwili zrobił duży zamach... i znowu się zatrzymał. Jeszcze raz sprawdził, a Zima zamruczała: – Tylko nie rąbnij mnie w łeb!

Kat zamachnął się jeszcze raz i ściął Zimie głowę. Nasi dzielni komandosi i karatecy przyprowadzili wózek dziadka Błocha, wrzucili Zimę na wózek i wywieźli. Gdzie ją wywieźli, tego to ja nie wiem. Potem były mocne brawa i rozeszliśmy się do klas. Jeszcze raz przybiegł policjant z „Komunikatem nr 3". Życzył nam, aby teraz z wiosną wszyscy rośli, ćwierkali, fruwali, kumkali, zielenili się i kwitli. Jak druhna weszła do klasy, to zlękła się: cała klasa ćwierkała, kumkała, kukała jak kazał policjant. I jeszcze wszyscy zapowiedzieli, że zazielenią się i zakwitną, ale za parę dni.

Zimę pożegnaliśmy więc z humorem i wiosnę powitaliśmy z uśmiechem. Ale będziemy czekać do następnego roku aby znowu żegnać zimę i witać wiosnę.

Maria Kaszkowiak
„Deptuska"

W HARCERSKIM KRĘGU

W najbliższym czasie nasza drużyna ma zdobyć imię Aleksego Dawidowskiego, dlatego też za Waszym pośrednictwem zwracamy się do Czytelników „ŚM" o pomoc w zdobyciu fotografii, kopii dokumentów, materiałów o Alku. Chcielibyśmy także skontaktować się z rodziną lub osobami, które były członkami Szarych Szeregów i miały bezpośredni kontakt z Alkiem.

Będziemy bardzo wdzięczni, jeżeli otrzymamy jakieś wiadomości lub adresy.

Nasz adres:
Harcerze 60 SDH
Szkoła Podstawowa Nr 4
im. Gen. K. Świerczewskiego
58-150 Strzegom
woj. Wałbrzych

Na tego psa nie ma rady

Jestem tym Andrzejem, którego w pewnym sensie druhna zna. To ja jeździłem po Wieleniu rowerem i woziłem na sankach, w koszyku, mojego psa, Bestyję. Nie chciałbym się przechwalać, ale jestem tego samego zdania co druhna Sobańska, „że na tego psa nie ma rady" i trzeba napisać do „Świata Młodych". Jak już druhna wie, wsiada on do koszyka przymocowanego do sanek, ja przyczepiam sanki do roweru i jeździmy po Wieleniu.

Kiedy jest śnieg i idziemy na górki, to Bestyja zjeżdża ze średniej górki sama na sankach (na leżąco, lub na siedząco), a z dużej razem ze mną (z przodu na kolanach lub z tyłu trzymając się pleców). Latem jeździ w koszyku na kierownicy lub na bagażniku. Lubi jeździć wózkiem działkowym na działkę. Na komendę „Wsiadaj, jedziemy" natychmiast wskakuje do koszyka lub do wózka i już jest gotowa do wyjazdu. W domu żyje w zgodzie z kotem (wyjątek stanowi posiłek). Na komendę „daj buzi" delikatnie dotyka językiem mojego nosa. Uwielbia kurze łapki, słodycze i kawę – na sucho w ziarenkach i rozpuszczoną. Poza domownikami bardzo lubi druhnę Sobańską. Bestyja jest przedstawicielem rasy ratlerków i jest nieduża.

Mój dziadek ją uwielbia. Na nas wszystkich mruczy i pokrzykuje, ale kocha Bestyję i na wszystko jej pozwala. Babcia z dziadkiem zazdrośni są o Bestyję i ciągle przekomarzają się z kim Bestyja będzie spać. Babcia uszyła Bestyi budę z kartonu po margarynie, wycięła w niej ładną dziurę, którą włażą do środka Bestyja i kot. Ja tę budę pomalowałem dosyć śmiesznie. Bestyja jest wspaniałym Deptusem, uwielbia rowery, ale że nie umie deptać, liczy na moje nogi. Ja ją chętnie wożę, bo nawet nowy kodeks o ruchu drogowym tego nie zabrania.

Andrzej
„Deptus"

REDAKCYJNA POCZTA

Chcę uratować tę przyjaźń

Koleżance, z którą przyjaźnię się od kilku lat, bardzo ufałam. Wierzyłam w tę przyjaźń. Myślałam, że nic nie zdoła nas rozłączyć i na zawsze pozostaniemy wiernymi przyjaciółkami. Od kilku tygodni jednak niepokoi mnie jej zachowanie. Moja przyjaciółka coraz częściej przebywa z jedną z naszych koleżanek, a mnie zbywa byle czym. Próbowałam z nią rozmawiać na ten temat, ale nie chciała mnie słuchać. Powiedziała, żebym nie nudziła, bo ją denerwuję. Odeszłam wtedy jak najszybciej i omal się nie rozpłakałam. Gdy jest klasówka, wtedy prosi żebym jej podpowiadała i jest miła. W innych sytuacjach zachowuje się dla mnie niezrozumiale. Ze swoją nową koleżanką szepczą sobie ciągle coś na ucho, robią tajemnicze miny i wciąż patrzą w moją stronę. Nie wiem jak to rozumieć? Czyżby miało to znaczyć, że z naszą przyjaźnią już koniec? Z taką myślą nie potrafię się pogodzić. Nie chcę zerwać tej przyjaźni. Ale czy jest szansa na jej uratowanie?

„Odrzucona"

Podłe występki

Chciałabym wypowiedzieć się na temat kradzieży dzienników lekcyjnych i dopisywania ocen. Może nie jest to powszechne zjawisko, ale w naszej szkole takie przypadki często się zdarzają. Uważam, że są to występki dziecinne i niegodziwe, a ich sprawcy to zwykli oszuści. I nierzadko nikczemnicy, tak jak moi koledzy, którzy winę zrzucają na innych, np. na osoby, których nie darzą sympatią. Być może sądzą, że to dobry kawał, ale dla mnie jest to zwykła podłość. W konsekwencji bowiem jest wiele kłopotów i nieprzyjemności, a w klasie wytwarza się atmosfera podejrzliwości i gniewu. To przecież bezsensowne, tym bardziej, że nauczyciele zazwyczaj i tak rozpoznają dopisane oceny. Poza tym jeśli już ktoś chce być dowcipny, to może przecież wykazać się wieloma innymi sposobami.

Zdaję sobie sprawę, że mój głos nie jest w stanie ukrócić podobnych występków. Mam jednak nadzieję, że skłonni wszystkich pseudo-dowcipnisiów do zastanowienia się.

„Elizabeth"

Cena koleżeństwa

Sprawa, o której chcę napisać od dawna mnie nurtuje, ale nie potrafię sobie z nią poradzić. Chodzi o ściąganie. Ledwie przyjdę do szkoły, obskakuje mnie tłum „wielbicielek", które nie odrobiły pracy domowej. Podobnie nie mogę opędzić się od próśb o podpowiadanie na klasówkach czy przy odpowiedziach. Gdy nie potrzebują ode mnie takiej pomocy, wtedy mam spokój, ale dla mnie oznacza on jednocześnie samotność. W takie dni nie istnieję dla koleżanek, nie zauważają mnie i nie mają ochoty rozmawiać ze mną.

Kiedyś postanowiłam – koniec z tym. Nie dam już więcej odpisywać prac domowych. Jeśli mają trudności, to niech poproszą mnie lub inną dobrą uczennicę o pomoc po lekcjach. Zabroniłam więc parę razy porywania mego zeszytu na przerwach. Ale wtedy obrażały się na mnie i plotkowały. Nie potrafiłam stawić temu czoła i zrezygnowałam ze swego postanowienia. Wiem, że w ten sposób nie pomagam koleżankom, lecz je krzywdzę, ale nie umiem z tym zerwać. Zresztą wtedy byłabym ciągle samotna i koleżanki przestałyby mnie lubić, a tego się boję.

Ton

SKOCZ PO ROZUM DO GŁOWY

Na widok chudych i opasłych przesyłek, czyli codziennej porcji listów na biurku, każdemu redaktorowi ciepło się robi pod sercem. „Mają do mnie zaufanie", „podobał im się mój tekst", „chcą mi o czymś ważnym powiedzieć" – myśli. No i ochoczo zabiera się do otwierania kopert. Listy są rozmaite: pochwalne, krytyczne, polemizujące, wołające o pomoc, interwencję, radę, podsuwające nowe tematy... Ale bywają też i inne. Ot choćby taki jak ten, który wybieram z własnego stosika:

Droga Redakcjo! Pani zadała nam wypracowanie (tu temat) *na podstawie książki* (tu autor i tytuł). *Muszę koniecznie dostać pięć. Przyślijcie mi zestaw materiałów.*

Albo: *Nasza klasa, w której imieniu piszę, ma przygotować program na akademię z okazji* (tu termin i temat). *Nie mamy jakoś pomysłów. Przyślijcie scenariusz. Wierzymy w Waszą* (to znaczy redakcji) *inwencję.*

I jeszcze z innej beczki: *Jeśli nie przyślecie mi w przeciągu dwóch tygodni wszystkich drukowanych przez Was zdjęć z gwiezdnej serii Lucasa, nie będę mógł pokazać się w szkole. Koledzy mają je, a ze mnie się śmieją, bo nie mam. Założyłem się więc z przyjacielem, że zdobędę je w ciągu dwóch tygodni. Nie zawiedźcie mojego zaufania.*

Próbuję wyobrazić sobie autorów cytowanych listów i przyznaję – ciężko mi idzie. Bo choć każdy dotyczy niby innej sprawy, w sumie ich intencje sprowadzają się do jednego: wyręczenia się nami, oczekiwania na gotowe i podsunięte pod nos.

A przecież wystarczyłoby chwilę pomyśleć. W pierwszym przypadku iść do biblioteki, wypożyczyć książkę i może kilka aktualnych opracowań na temat jej autora. Ot i cały zestaw materiałów. W drugim – urządzić burzę mózgów i... znów zajrzeć do biblioteki szkolnej, by poszukać wskazówek, nazwijmy je – technicznych. W trzecim zaś... także wizyta w bibliotece, by przejrzeć zszywkę „Świata Młodych". W Skrzynce Kontaktowej „Gwiazdozbioru" nie brak nazwisk kolegów o podobnych zainteresowaniach, gotowych do wymiany tychże zdjęć na co innego. Cóż prostszego jak zacząć z nimi korespondować?

Czyżby rzeczywiście napisali do mnie bezradni, którzy nie potrafią sobie sami poradzić? A może to osoby najzwyczajniej w świecie leniwe, którym nie chce się wysilać?... Czy też po prostu cwaniacy, wyspecjalizowani w działaniu po linii najmniejszego oporu, albo nawet cynicy – gazeta jest dla nas, więc się nam należy!

Wszystko są to oczywiście moje domysły, może niezbyt eleganckie, ale przecież w końcu bardzo prawdopodobne. Jeżeli jednak takie listy powtarzają się zbyt często, są – niezależnie od rodzaju zawartego w nich „zamówienia" – sygnałem alarmowym.

Ten alarm potwierdziła mi w przypadkowej rozmowie zaprzyjaźniona ze mną bibliotekarka z pewnej warszawskiej szkoły.

Dowiedziałam się więc, że niewielu spośród tych, którzy odwiedzają bibliotekę umie posługiwać się katalogiem. A już odróżnienie katalogu alfabetycznego od rzeczowego to zupełna rzadkość – „No to trzeba wychować sobie czytelników" – uraczyłam ją banalną radą. Ale, okazuje się, że nie jest to takie proste.

Obowiązkiem bibliotekarza jest wprowadzenie w biblioteczne sekrety każdej klasy w ciągu jednej zaledwie godziny zajęć w ciągu roku. A do tego ta godzina nie jest z góry wyznaczona. Czasem uda się ją przeprowadzić w czasie lekcji języka polskiego, czasem na godzinie wychowawczej, ale najczęściej (bo przeładowany program rozsadza ramy czasowe) w porze tak zwanego „okienka". No i – skarży się bibliotekarka – wszyscy uczniowie traktują tę godzinę niepoważnie, jak okienko właśnie. A potem efekty takie jak w cytowanych listach, albo i jeszcze gorsze. Ta luka w wiadomościach kłania nam się właściwie całe życie. Wielu dorosłych za każdym razem, gdy trzeba wykazać się umiejętnością samodzielnego poszukiwania i dobierania wiadomości, staje bezradnie. Zupełnie jakby nie było bibliotek, a w nich encyklopedii, poradników, wycinków prasowych zgrupowanych tematycznie... Rozpaczliwie szukamy wtedy fachowca, który mógłby podyktować nam, punkt po punkcie, co robić. A przecież może być zupełnie inaczej.

W szkole podstawowej, w której moja rozmówczyni była kiedyś uczennicą, istniało coś w rodzaju kółka zainteresowań, właśnie bibliotecznych. Uczniowie sami zajmowali się wyszukiwaniem w prasie tematów, które mogły im się przydać. Wycinali te artykuły i informacje i gromadzili je w teczkach. Były to wiadomości o sławnych ludziach, o odkryciach geograficznych, o ważnych wydarzeniach historycznych, była nawet teczka ze skeczami i poezją stosowną dla czczenia różnychu okoliczności. Opiekę nad tym swoistym archiwum zainteresowań sprawowali co roku inni uczniowie klas szóstych i siódmych oraz właśnie szkolna bibliotekarka, która służyła im radą i pomocą. Dbała prócz tego, by do każdej teczki wsunięta była lista pozycji książkowych, związanych z danym tematem, uzupełniana ciągle, w miarę nowych zakupów. Przez lata teczki pęczniały i naprawdę nikt w tej szkole nie miał problemu ze znalezieniem materiału do swoich wypracowań, referatów, czy nawet z ułożeniem programu akademii. Były to, co więcej, materiały ciekawe, znacznie wykraczające poza programowe obowiązki.

– Tamta pani bibliotekarka – wzdycha moja informatorka – jest już dziś na emeryturze. Teczki zdezaktualizowały się, bo jakoś przestano o nie dbać i poszły pewno na makulaturę. A ja – uśmiechnęła się – skończyłam bibliotekoznawstwo i od niedawna pracuję w szkole. Jak myślisz, do czego chcę namówić moich uczniów?...

EWA BIELSKA

Przemysł czterdziestolecia 8

1944–1984

prezentuje KRZYSZTOF GUTORSKI

Wszystko co najbardziej precyzyjne

MIKROSKOPY I KOMPUTERY

PRZEMYSŁ PRECYZYJNY rozwinął się najpóźniej, ale jest chyba najnowocześniejszy. Obejmuje wytwórnie środków automatyzacji, techniki obliczeniowej i biurowej, aparatury pomiarowej, urządzeń laboratoryjnych, sprzętu optycznego, medycznego i weterynaryjnego, a także zakłady remontowe i usługowe.

Największym ośrodkiem przemysłu precyzyjnego jest Warszawa (automatyka, przemysł optyczny), Ostrów Wielkopolski, Przemyśl. Maszyny elektroniczne, zwane potocznie komputerami, produkuje się we Wrocławiu w „Elwro", maszyny do liczenia w Skarżysku-Kamiennej, maszyny do pisania w radomskim „Walterze", najpierw na licencji szwedzkiej, teraz kontynuowane krajowe „Łuczniki".

Wśród wytwórni urządzeń pomiarowych można wymienić fabryki wodomierzy w Toruniu, Poznaniu i Wrocławiu, gazomierzy – w Poznaniu i Tczewie, manometrów we Włocławku. Wiele innych przyrządów pomiarowych powstaje w Krakowie, Gliwicach, Zielonej Górze, Wrocławiu. Narzędzia chirurgiczne i dentystyczne ze stali szlachetnych produkują wytwórnie w Milanówku i Nowym Tomyślu.

Pierwsze komputery na elementach tranzystorowych zbudowano w Polsce w 1963 r. Nowoczesne maszyny cyfrowe tzw. trzeciej generacji, „Odra 1305 i 1325" rozpoczęto produkować w 1972 r. Po 1976 r. przystąpiono do produkcji komputerów RIAD we współpracy z krajami RWPG. Wykonują one ponad 240 tysięcy operacji na sekundę. W podziale pracy przypadła Polsce specjalizacja w produkcji drukarek do komputerów (Błonie) oraz pamięci dyskowych.

Aparatura kontrolno-pomiarowa oraz urządzenia umożliwiające automatyzację pracy są wykorzystywane we wszystkich gałęziach przemysłu, w górnictwie, kolejnictwie, żegludze itd.

Podobnie jak inne rodzaje produkcji, tak i przemysł precyzyjny nie może się obejść bez chemii. Potrzebne są materiały szczególnej czystości, tworzywa sztuczne na obudowy aparatów, farby i lakiery, żywice, odczynniki. Wobec ustawicznego „zapominania" (czyli po prostu nieuwzględniania chemii w inwestycjach) o tym w całym kompleksie technologicznym od surowców do produktu, wiele składników trzeba importować. A że ostatnio wystąpiły pewne trudności dewizowe, nie osiąga się wielkości produkcji sprzed 1980 r.

Fot. **CAF**

Nowoczesny mikroskop operacyjny produkcji Polskich Zakładów Optycznych

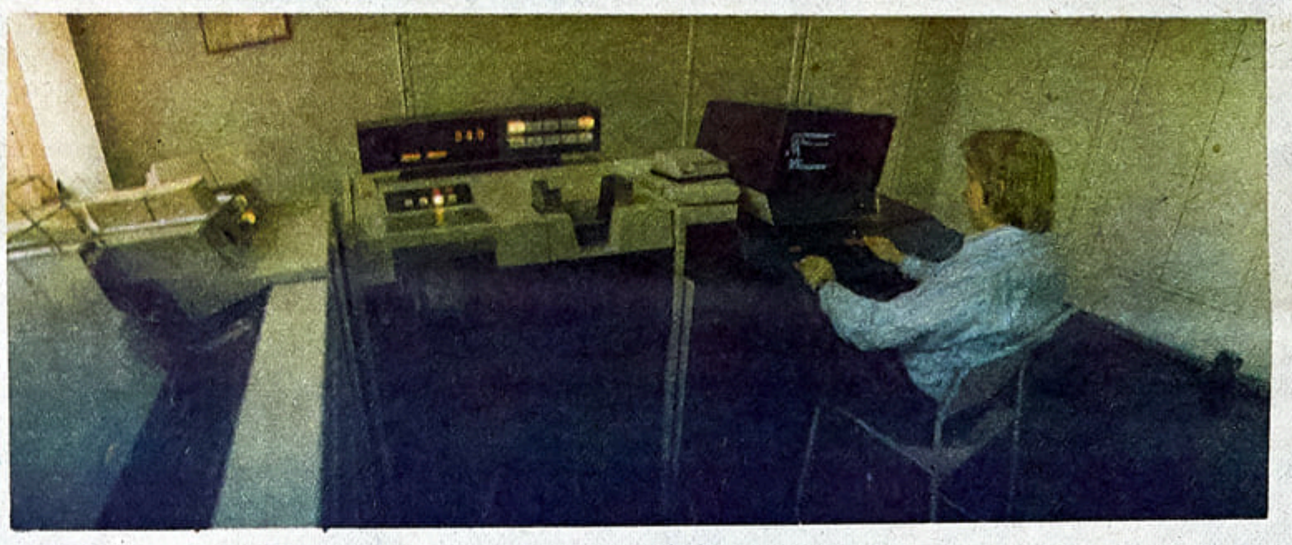

Co z tego mamy?

Minął czas rozdętych programów informatycznych, zapowiedzi skomputeryzowania gospodarki i wszelkich innych dziedzin życia. Okazało się, że nie tyle informatyka jest kluczem do dobrobytu, co dopiero dobrobyt może wykorzystać informatykę do usprawniania życia gospodarczego.

Jednak wniosek, że informatyka i komputery są niepotrzebne – bo i takie zdanie niekiedy się słyszy – jest nieuzasadniony i fałszywy. Jakie są bowiem możliwości zastosowania komputerów, dawno już odkryto na Wschodzie i na Zachodzie.

Przede wszystkim informacja naukowo-techniczna. Liczba publikacji, patentów, prac badawczych jest ogromna i samo przewertowanie miesięczników i ksiąg zajęłoby całe lata poszukującemu jakiejś konkretnej informacji. System komputerowy ułatwia poszukiwania, w ciągu kilku minut można uzyskać potrzebne dane z literatury światowej – o ile jest się uczestnikiem centrum informatycznego.

Wiele badań naukowych można uprościć, wielu chybionych rozwiązań dałoby się uniknąć przy zastosowaniu eksperymentów symulacyjnych na komputerach i minikomputerach. Tylko trzeba je mieć i umieć się nimi posługiwać...

Systemy komputerowe mogą kierować (fachowo mówi się o sterowaniu) procesami produkcyjnymi w fabrykach czy poszczególnych instalacjach. W takie komputerki sterownicze są zaopatrzone niektóre instalacje w przemyśle chemicznym i rafineryjnym i w innych gałęziach produkcji. Ale mikroprocesory i minikomputerki mogą być stosowane także w samochodach, urządzeniach gospodarstwa domowego itd. Program oszczędności energii wymaga wręcz stosowania takich urządzeń.

Komputery i minikomputery są niezbędne w pracy banków, księgowości, administracji, biur projektowych itd.

Tymczasem liczba zainstalowanych komputerów wyniosła w Polsce w 1982 r – 2553 sztuki, w tym 829 średnich i dużych a 1724 małe minikomputery. W tym samym roku produkcja krajowa wyniosła... 17 komputerów dużych i średnich (2 na eksport) i 140 minikomputerów. Jak widać, znaczna większość komputerów pochodzi z importu – i nie ma się co z tego powodu dziwić. Gorzej, że pochodzą one z różnych stron świata i z różnych firm, co nie ułatwia utrzymania ich w należytym stanie technicznym, ani też współpracy ośrodków wyposażonych w te nowoczesne narzędzia pracy.

Tym danym i poglądom, wygłaszanym na łamach różnych pism, przeciwstawiają się zwolennicy umiarkowanego zachwytu nad komputerami. Twierdzą oni, że jeszcze ani jedna firma amerykańska nie splajtowała z powodu braku komputera, natomiast wiele zbankrutowało wskutek zakupu kosztownego sprzętu i konieczności zatrudnienia wielu specjalistów od programowania, zasilania komputera informacjami i przetwarzania danych.

Czy kalkulatorek jest więc zły? Komputery też są potrzebne, a jak zostaną wykorzystane, to już zależy od kwalifikacji ludzi.

Mikrokomputer zamiast szkoły?

Prezes Klubu Mikrokomputerowego „Abakus" z Warszawy, p. Leszek Wilk jest zdania, że tylko mikrokomputer może zmienić istniejący system edukacyjny, który wcale nie uczy myślenia. Ktoś próbuje wprowadzać dyskusje, uczyć problemowo, ale nie stosuje się tego na skalę masową, może z wyjątkiem matematyki.

Oczywiście trzeba mieć w pewnym zakresie wiedzę pamięciową, lecz nauczyć się myśleć można tylko przez rozwiązywanie problemów. A komputer może stawiać problemy i korygować ich rozwiązywanie.

Można np. ustalić na komputerze taki system pytań, obejmujących dany zakres wiedzy, że po przerobieniu tego systemu zna się już materiał od strony pamięciowej. Ale można też ułożyć taką grę, która wymaga nie tylko wiedzy pamięciowej, lecz przede wszystkim umiejętności logicznego myślenia i wyciągania wniosków. W ten sposób zwiększa się efektywność uczenia wielokrotnie. W Stanach Zjednoczonych stworzono już tak interesujące gry, że dzieci, które dotychczas niechętnie uczęszczały do szkoły, teraz gnają na wyprzódki i trudno je oderwać od komputera...

Gdyby ktoś chciał zobaczyć pracę Klubu z bliska, oto jego adres: **Klub Mikrokomputerowy „Abakus", Warszawa, Sobieskiego 18.** Spotkania klubowe odbywają się w każdy **poniedziałek od godz. 17 do 20.**

Fot. **K. Adamowski**

Czy wiecie, że...

- mikroskop wynaleziono w Holandii około 1590 r., powiększenia 300-krotne dawały mikroskopy A. van Leeuwenhoeka 1677, a nowoczesne mikroskopy optyczne pozwalają na obserwowanie przedmiotów o rozmiarach do 0,25 mikrona.
- „abak" – to nazwa chińska zwykłych liczydeł; wynalazku tego dokonano ok. 2600 lat p.n.e.
- przodkiem komputera jest „paskalina" – maszyna do dodawania, wynaleziona przez 19-letniego Błażeja Pascala, późniejszego znanego filozofa i myśliciela.
- dotychczas używany „kręciołek" do dodawania i mnożenia zawdzięcza swe istnienie Leibnizowi, matematykowi i filozofowi niemieckiemu, który skonstruował tę maszynę w latach 1671–1674
- za pierwszy komputer trzeba uznać angielską maszynę EDSAC, uruchomioną na uniwersytecie Cambridge w 1949 r.

NAUKA I PRAKTYKA

Wyruszają do pracy rano, tak aby być na placu budowy o 7,00. Nie można się spóźnić, bo majster srogi i łatwo się denerwuje. Szybko wskakują więc w robocze kombinezony, kaski ochronne. I do kielni! A robota podobno pali im się w rękach – tak przynajmniej twierdzą ich starsi koledzy – robotnicy zatrudnieni przy budowie szkoły podstawowej przy ulicy Kędzierskiego na warszawskim osiedlu Bemowo II. Michał Kamiński, Ryszard Kornacki, Krzysztof Lewiński i Waldemar Orliński są uczniami II klasy Zespołu Szkół Zawodowych przy ulicy Księcia Janusza w Warszawie. Na budowie pracują przez 3 dni w tygodniu. To są ich szkolne warsztaty! Pozostałe dwa dni spędzają w swojej szkole, gdzie zawód murarza-tynkarza poznają od strony teoretycznej. Ale nawet najlepszy teoretyk nie zastąpi praktyka – twierdzą doświadczeni fachowcy. Toteż właśnie na placu budowy uczą się jak trzymać kielnię, mieszać zaprawę murarską i układać cegły. Póki co cała czwórka pracuje aktywnie i z zapałem. Może właśnie dzięki temu nowa szkoła na Bemowie oddana zostanie do użytku w terminie (tzn. w sierpniu br.) a budynek będzie solidniejszy i starannie wykończony...? **(jz)**

FOTOREPORTAŻ JACKA ŁOPUSZYŃSKIEGO

Co może jedna dziewczyna

Wierzbno. Mała wioska leżąca między Skwierzyną a Międzychodem w woj. gorzowskim. Na pierwszym piętrze niewielkiej zbiorczej szkoły gminnej kończyła się zbiórka zastępu „Trampków pieszochodów". Pięć dziewczyn siedziało w klasie dookoła ustawionej z patyków imitacji harcerskiego ogniska. Jeszcze piosenka na zakończenie i wszystkie rozchodzą się do domów. Zostaje tylko przyboczna. Ma na imię Iwona, chodzi do VII klasy tejże szkoły.

– *Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mamy robić na zbiórkach* – powiedziała w pewnej chwili bezradnie. – *Wszystkie pomysły, jakie mi przychodzą do głowy, staramy się realizować, ale jest tego rozpaczliwie mało. Już sama nie wiem, co można jeszcze wymyślić.*

Drużyna liczy oficjalnie 30 osób. Podzielona jest na cztery zastępy, w każdym są chłopcy i dziewczęta. Dobierali się sami, według sympatii. Wieś jest niewielka, znają się więc doskonale. Na początku roku zapał do harcerstwa mieli wszyscy ogromny. Teraz z tego zostało bardzo niewiele.

– *Najgorzej jest z chłopcami. Ich zbiórki to właściwie bieganie po korytarzu, granie w piłkę, albo robienie nie zawsze mądrych psikusów. Kilka razy przychodziłam do nich, chciałam im pomóc i doradzić. Tłumaczyłam, żeby zmienili swoje zachowanie, ale gdzie tam, w ogóle mnie nie słuchali. Nie chcieli ze mną rozmawiać. Najgorsze jest to, że niektórzy z nich palą papierosy, ludzie to widzą i mówią: o, zobaczcie jacy harcerze.*

Drużynowa jest młodą nauczycielką. Uczy w szkole dopiero od początku roku. Stara się pomagać, ale nie zawsze znajduje czas dla harcerzy. Ma męża i małe dziecko, musi więc zająć się domem. Iwona nie skończyła żadnego kursu, nie ma nawet patentu zastępowej. Do harcerstwa przyszła, bo chciała coś robić i wydawało jej się, że tu będzie mogła dać z siebie najwięcej.

– *Staraliśmy się o harcówkę. Chodziłam do dyrektora szkoły i do kierownika miejscowego zakładu doświadczalnego, ale nikt nie umiał nam pomóc. Znalazłam nawet wraz z dziewczętami kilka pustych pomieszczeń, które moglibyśmy przerobić, ale powiedziano nam, że jesteśmy za młodzi i sami nie damy rady, a pomóc nie bardzo było komu. Dorośli mają inne, ważniejsze sprawy na głowie.*

Drużyna praktycznie nie istnieje. Zbiórki są nudne i mało ciekawe. Przychodzi więc na nie coraz mniej osób. Wyjątkiem jest zastęp, którym opiekuje się Iwona. Ale i tu nie jest za dobrze. Chłopcy w zastępie prawie się nie liczą, a dziewczęta trzymają się razem na zasadzie przyjaźni wyrosłej z chodzenia do tej samej klasy. Harcerstwa w tym mało, za to dużo dobrych chęci.

– *Wiem, że mam ogromne braki. Nie mam żadnej lektury harcerskiej. Nie czytałam żadnych poradników – nawet wymagań na stopnie i sprawności. Po prostu u nas ich nie ma, i nie ma skąd ich wziąć. Nawet „Biblioteczka zastępowego" wydawana przez „Świat Młodych" do nas nie dociera – nie można jej kupić. Tak jest ze wszystkim, a ja dopiero od września jestem przyboczną. Nie mam jeszcze żadnych kontaktów i znajomości, nie bardzo wiem, do kogo mogę się zwrócić o pomoc.*

Iwona nie ma zamiaru się poddawać, rezygnować i zniechęcać. Wykorzystuje każdą chwilę, każdą okazję aby dowiedzieć się i nauczyć czegoś nowego.

Pomysły na zbiórki czerpie z przeczytanych książek przygodowych. Ogląda także programy telewizyjne przeznaczone dla dzieci i młodzieży. Słucha audycji Rozgłośni Harcerskiej. Najlepsze, najciekawsze pomysły stara się naśladować. Zorganizowała z zastępem zabawę karnawałową dla maluchów i dyskotekę dla starszych. Dziewczyny udekorowały salę, przygotowały muzykę, gry, konkursy i upiekły nawet ciasto. Starają się pomagać starszym i opiekują się tymi, którzy zostawieni sami sobie są bezradni. Iwona wraz z zastępem stara się aby harcerstwo było widoczne, aby ludzie nabrali do nich przekonania – wtedy łatwiej będzie o coś prosić.

Zapał i ogromna chęć Iwony dają powoli dobre rezultaty. Ich działanie zauważyła komendantka hufca, która w miarę swoich skromnych możliwości będzie starała się im pomóc. Skromnych, bo przecież hufiec gminny – terenowy – ma niejednokrotnie mniejsze możliwości niż szczep harcerski działający przy szkole w dużym mieście. Poza tym w mieście zawsze łatwiej o wszystko. Tak o książki jak i o pomoc różnych instytucji.

Gdy przyjechałem do Wierzbna trafiłem w wir gorączkowych przygotowań do wyjazdu. Iwona wraz z innymi harcerzami z hufca wyjeżdżała nazajutrz do Warszawy na organizowany przez Hufiec ZHP im. Szarych Szeregów z Mokotowa rajd z okazji rocznicy Akcji pod Arsenałem. Iwona wiele sobie po tym wyjeździe obiecuje. Chciałaby przede wszystkim poznać nowych harcerzy. Popatrzeć jak pracują inni, podpatrzeć ich metody, nauczyć się nowego, nawiązać kontakty, które później mogą pomóc w działaniu drużyny. Chciałaby także zdobyć jak najwięcej wydawnictw harcerskich, książek, poradników i regulaminów.

– *W czasie podróży będę mogła porozmawiać z komendantką hufca. Na pewno wiele się nauczę i myślę, że druhna pomoże mi rozwiązać wiele spraw. Podpowie mi co robić. Mimo że jeszcze sama niewiele o harcerstwie wiem, nie mam zamiaru z tego powodu się załamywać. Bardzo chcę się czegoś nauczyć i bardzo chcę być harcerką. Chcę i muszę te wszystkie trudności pokonać. Pewnie, że nie od razu będzie dobrze, ale myślę, że z czasem wszystko zmieni się na lepsze.*

Kilkadziesiąt lat temu dh Nekrasz mawiał: *„Jeśli chcesz mieć cokolwiek zrobionego, zrób to sam"*. Ta stara zasada, mimo że minęło już wiele lat, nie straciła nic na aktualności.

ANDRZEJ BANASIK

MUZYKA NA SMYKACH GRA

Było dżdżyste popołudnie. Zmarznięta błąkałam się po ulicach Krosna Odrzańskiego trzymając w ręku kartkę ze zdobytym w szkole muzycznej adresem Rysia. Przechodnie mijali mnie obojętnie, spiesznie umykając przed deszczem. Wreszcie ktoś się zlitował i pokazał dokąd mam iść. To powinno być tu gdzieś niedaleko. Wtedy usłyszałam muzykę. Ktoś grał na skrzypcach. Poznałam – to Vivaldi – „Cztery pory roku"... „Wiosna" – zrobiło się jakby cieplej, weselej. Pomyślałam przez moment, że to może gra Rysiek. Poszukiwany przeze mnie Rysiek Ejsmont. Na coraz bardziej mokrej kartce był jednak inny adres. Poszłam dalej. Nareszcie jest ulica, której szukam. Pytam, gdzie mieszkają państwo Ejsmontowie.

– Ci, których syn uczy się muzyki?

– Tak, Tak! – odpowiadam nieco zaskoczona.

– No, przecież pani przechodziła koło ich domku... Dostała pani zły adres. – I tak dosyć nieoczekiwanie – najpierw usłyszałam, a dopiero potem poznałam Rysia.

Trudne miłego początki

Drzwi otworzył mi tata, pan Ejsmont.

– Niech pani wejdzie, bardzo proszę. – Cichutko weszłam do pokoju. Rysiek stał przy oknie. Trzymał w ręku skrzypce. Przy jego drobnej postaci wydawały mi się wielkie. Jak on sobie radzi z takim długim smyczkiem? – to była pierwsza myśl, jaka mi wpadła do głowy. Rysiek jest onieśmielony i speszony moją wizytą, ale wszystkie lody pryskają, gdy pytam o skrzypce. To jego skarb. I duma. Zna szczegóły ich budowy.

– Bardzo się cieszę, że rodzice kupili mi te skrzypce. Kiedy jechałem z tatą do Zielonej Góry do lutnika, trochę się bałem. Taki duży wydatek – czy nie zawiodę rodziców. Czy nie zabraknie mi zapału, kiedy już będę miał własny instrument? *Bo czasami tak jest, że gdy się czegoś pragnie i to marzenie się spełni, to nie wydaje się ono takie atrakcyjne.* Pamiętam jak długo zastanawialiśmy się, który instrument wybrać. To przecież miały być moje pierwsze dorosłe skrzypce. Przedtem grałem na skrzypcach szkolnych. Najpierw na tzw. ćwiartkach – najmniejszych, później połówkach. W piątej klasie miałem już prawie normalne skrzypce – trzy czwarte. Ale co to była za gra. Kiedy sobie przypominam te dźwięki wydobywające się spod smyczka, pękam ze śmiechu. Zupełnie jakby ktoś drzewo piłował. Podziwiałem rodziców i braci, że wytrzymali to rzępolenie.

Rysiek wyciąga album ze zdjęciami. – Czy pani mnie poznaje? – pyta pokazując małego szkraba w krótkich majteczkch.

– To zdjęcie było robione w roku, w którym rozpocząłem moją „muzyczną karierę" – śmieje się. – Miałem wtedy sześć lat. Chodziłem do przedszkola. Pod koniec roku szkolnego przyszła do nas pani, która uczyła w szkole muzycznej. Kilka dni przedtem oglądałem w telewizji transmisję koncertu z filharmonii. Grał jakiś skrzypek, nie pamiętam co to było, ale wiem, że ta muzyka zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Siedziałem przed telewizorem jak zaczarowany i kiedy dowiedziałem się, że w szkole muzyczne można grać na skrzypcach, postanowiłem, że tam pójdę.

Czekał mnie jeszcze egzamin. Sprawdzano słuch, poczucie rytmu. Zaśpiewałem jedną z niewielu piosenek jakie znałem. Oczywiście była to piosenka „Wlazł kotek na płotek". Chyba nie wyszło źle, bo zostałem przyjęty. Do klasy skrzypiec.

Radość Ryśka nie trwała długo. Zaczął przecież jednocześnie naukę w dwóch szkołach – w szkole podstawowej i muzycznej. Trzeba było biec z jednych zajęć na drugie. Zostawało mało czasu na kopanie piłki, łażenie z chłopakami po drzewach i inne „męskie sporty". Za mało jak dla niego. Krzywił się, kiedy trzeba było ćwiczyć, przepisywać nuty. Mama już machnęła ręką na tę muzyczną edukację. Ale zrezygnować z muzyki nie pozwolił Ryśkowi nauczyciel gry na skrzypcach. Zawarł z nim taką męską umowę:

– Wytrzymaj do końca roku! – powiedział. – Jeśli nie polubisz przez ten czas gry na skrzypcach, trudno, nie będę cię dalej zmuszał. Odejdziesz. Ale wytrwaj do końca roku.

Grać coraz lepiej

– I skrzypce zwyciężyły. Jestem teraz szczęśliwy, że nie uległem tamtej słabości i nie rzuciłem szkoły.

Teraz nie wyobrażam sobie życia bez muzyki. Nie wiedziałbym co robić. Może to brzmi trochę niewiarygodnie, ale tak jest. Zupełnie niedawno to zrozumiałem. Do klasy piątej granie dawało mi dużo przyjemności, ale wiedziałem, że nie gram najlepiej. Dopiero w szóstej klasie zrozumiałem, że muszę być lepszy w grze i że to może być moja dalsza droga – coraz lepsza technika, coraz wyższa kultura muzyczna. Kiedy myślę o swojej przyszłości, wiem, że musi być w niej miejsce na muzykę. I skrzypce.

Kiedy zaczynałem grać na skrzypcach, uważałem, żeby grać czysto, zgodnie z zapisem nutowym. Teraz wiem, że oprócz czystości techniczej trzeba jeszcze czegoś więcej, trzeba włożyć w tę grę serce. Wtedy muzyka inaczej brzmi. Wydaje mi się, że umiem odróżnić taką mechaniczną muzykę od tej natchnionej. Moim marzeniem jest zagrać tak koncert Vivaldiego, jak Konstanty Andrzej Kulka, którego gry słucham z biciem serca. Jego muzyka promieniuje, żyje.

Taką cenzurkę miło wręczać, a jeszcze przyjemniej dostawać. Obok Ryśka stoi jego brat Piotrek

Jeden z koncertów w ramach „Wiosny nad Odrą". Na scenie chór i zespół kameralny przy Szkole Muzycznej I Stopnia w Krośnie Odrzańskim. Czy poznajecie Rysia?

Rysiek wie, że gdy się chce tak grać, trzeba bardzo dużo pracować. Ćwiczy ciągle za mało i musi się wziąć za siebie, tym bardziej, że niedługo czekają go duże emocje. Został skierowany przez muzycznego opiekuna na ogólnopolski konkurs skrzypcowy dla młodzieży, który odbędzie się w Malborku w maju tego roku. Jest to pierwszy poważny występ. Rysiek ma straszną tremę. Będzie tam grał „Wiosnę", część pierwszą „Czterech pór roku", Wieniawskiego „Pieśń polską" oraz „Etiudę" Fiorillego. Kupił już komplet nowych strun. Wydał na nie prawie wszystkie swoje oszczędności, ale za to skrzypce nabrały nowych barw.

– One tak brzmią – tłumaczy mi Rysiek – że ich dźwięk „prześladuje" mnie prawie na każdym kroku. Śmieję się czasami z siebie, bo kiedy np. stoję w kolejce po chleb czy mleko, chodzą mi po głowie różne tony, układam w myślach palce na gryfie, przesuwam smyczkiem po nieistniejących strunach. Gdyby ludzie wiedzieli, to by się pewnie pukali w czoło.

Nie tylko skrzypce

Jak każdy chłopak lubi kopać piłkę i bardzo chętnie spędza czas na boisku. Jego konikiem jest od niedawna fotografika. W wakacje zbierał zioła, a za zarobione w ten sposób pieniądze kupił najpotrzebniejszy sprzęt fotograficzny. Przeczytał kilka książek na temat fotografowania i wyruszył na polowanie z aparatem. Miał trochę trudności z wywoływaniem. Pierwsze zdjęcia są bardzo słabe technicznie, ale na pewno jeszcze kilka prób i już będzie można poznać kogo fotografował.

Rysiek ma dwóch starszych braci. Piotrek starszy o rok w tamtym roku skończył szkołę muzyczną i zrezygnował z dalszej muzycznej edukacji. Teraz chodzi do I klasy LO. Najstarszy z braci, Kazimierz, jest uczniem III kl. ZSZ i tylko jego w tej rodzinie muzyka nie pociąga, bo tata marzył kiedyś aby grać w wojskowej orkiestrze, a mama najlepiej wypoczywa przy muzyce. Gdy Rysiek ma jakieś kłopoty, może zawsze liczyć na jej pomoc. A o kłopoty nietrudno, kiedy ma się głowę pełną zwariowanych pomysłów, uczestniczy się w tylu absorbujących zajęciach, a do tego kocha się skrzypce.

JOLANTA TOMALA
Fot. **archiwum**

Dwunastoletni chłopiec z irańskiej Gwardii Rewolucyjnej trzyma straż przy wziętych do niewoli Irakijczykach
Fot. **CAF**

Dzieci Chomeiniego 2

Szliśmy naprzód wykrzykując radość walki

– To jest ostatnie wspomnienie o mojej matce: wrzeszczała, machała rękami i podburzała sąsiadów, krzycząc: „Wstydzę się, że on jeszcze żyje. Jego ojciec zginął, jego bracia zginęli, a on ciągle żyje. Co uczyniłam Bogu, że dał mi takiego syna?" Wzięła laskę mojego dziadka, który również zginął na froncie, i biła mnie, biła, biła. Przyszły inne kobiety i biły razem z nią: „Pedar sag (psi synu), przynosisz hańbę mojej rodzinie. Nie chcę cię więcej widzieć". I nigdy już jej nie zobaczyłem.

– Skąd ta nienawiść?

– Być może sądziła, że nie chcę się bić, jak bił się mój ojciec, który zginął dwa lata temu, jak moi dwaj starsi bracia, którzy zginęli gdzieś w Chuzestanie, podczas pierwszej irackiej ofensywy, jak prawie wszyscy mężczyźni z mojej rodziny. Byłem ostatni i najmłodszy. Mnie jednego interesowała nauka i jeśli miałbym na to środki, chciałbym zostać lekarzem, farmaceutą albo weterynarzem.

Na wiosnę ubiegłego roku zbierali młodych ludzi, którzy nie skończyli jeszcze 14 lat. Przyjechał mułła i dowódca pasdaranów z miasta, aby z nimi rozmawiać i nauczyć nas posługiwania się bronią. Wykazywałem więcej gorliwości przy tablicy w klasie niż w czasie ćwiczeń w koszarach. Żołnierze, później moi koledzy, śmiali się ze mnie. Nosiłem włosy nieco dłuższe niż inni. Upokorzono mnie goląc mi głowę. Pamiętam, że kiedy dowiedziałem się o śmierci moich bliskich, płakałem wieczorem w łóżku. Moja matka wprost przeciwnie, wydawało się, że stanowi to dla niej powód do dumy. Sąsiedzi przychodzili pochwalić ją za ofiarę, którą złożyła narodowi. Ja nie pojmowałem. Nie płakała nawet po swoich zmarłych.

Nie rozumiałem, co mi się przydarzyło. Nigdy nie wzbraniałem się przed walką, wprost przeciwnie, to, co robię, daje mi szczęście. I jeśli zaczynałbym po raz drugi, robiłbym to samo. Chcę tylko powiedzieć, że nie byłem przygotowany moralnie i fizycznie i że gdyby było trochę więcej porządku, mógłbym to robić lepiej. Byłem nawet gotów umrzeć i zrobiłem wszystko, aby zginąć; Bóg mnie nie chciał.

– Opowiedz mi o swojej wojnie.

– To trwało miesiąc. Działo się w czasie operacji odbijania terytorium narodowego na początku roku (koniec marca 1982 r. według kalendarza irańskiego). Przyjechali mułłowie mówić nam o Chomeinim – synu Boga, o naszych błędach, które trzeba odkupić, i o naszych umarłych braciach, których należało pomścić. Instruktorzy wojskowi pokazali nam, jak posługiwać się karabinami innymi niż te, które wypróbowywaliśmy w naszym miasteczku. Jedzenia – choć złego – było pod dostatkiem. Dano nam dwudniowe racje żywnościowe, gdyż po tamtej stronie góry, jak nam powiedziano, przygotują wam jedzenie jeńcy iraccy.

Kilka wersetów z Koranu przypiętych szpilkami na piersiach miało nas chronić przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Tysiące dzieci szły naprzód wykrzykując swą radość walki. Dziesiątki padały obok mnie, aby się już nie podnieść. Tu i ówdzie żołnierze krzyczeli do nas: „Naprzód, nie odwracajcie się, naprzód..." i posuwaliśmy się jak automaty pozwalając naszym towarzyszom walki umierać bez pomocy. Powiedziano nam, że sanitariusze przyjdą na ratunek rannym. Nic podobnego. Najciężej rannych zabijano na miejscu, aby położyć kres ich cierpieniom, lżej ranni musieli sobie radzić sami.

Przez trzy dni posunęliśmy się o 30 km, dochodząc do Bostamu, miasteczka znajdującego się całkiem blisko Iraku. Nie jedliśmy już przez cały dzień, nie piliśmy również. Wszystko było wyschnięte, wszędzie był kurz; widziałem, jak młodzi żołnierze pili swą urynę, inni ssali krew zabitych kolegów. To wzbudzało moją odrazę. Lepiej było umrzeć.

Czwartego dnia ofensywy, pod wieczór, przyjechał jeepem inny mułła. Był czysty, całą drogę przebył samochodem. Opowiedział nam straszliwe rzeczy. „Irakijczycy, ten psi pomiot, kiedy nie mają nic do jedzenia, jedzą Irańczyków. Czy zdajecie sobie sprawę? Zjedli, być może, waszego ojca albo waszego brata. A więc róbcie tak samo. Zabijajcie ich, zarzynajcie, a kiedy nie macie co jeść, jedzcie ich!".

– Jak dostałeś się do niewoli?

– Trzy czy cztery miesiące później weszliśmy do Iraku. Długie tygodnie pozostawaliśmy na naszych pozycjach. Działa irackie strzelały nam nad głowami i nasza artyleria odpowiadała w ten sam sposób. Wiele razy spadały na nas pociski i oto pewnego wieczoru obudziła nas straszna kanonada. Z naszej setki młodych zabito około 30 i tego właśnie wieczoru zrozumiałem, co to jest piekło.

Całą noc działa, pociski, race, krzyki. Koszmar. Koledzy proszący, żeby z nimi skończyć, amputacje, które trzeby było robić bez znieczulenia, za pomocą zwykłego sztyletu. Zabici, którym zdejmowano buty, bluzy wojskowe i hełmy, byli zbierani i chowani w dole. Lecz nie widziałem jeszcze najgorszego. W tym morzu żelaza i ognia słychać było nie tylko krzyki rannych i umierających, lecz również krzyki przerażonych, znajdujących się w szoku dzieci. Wówczas ci wojskowi pseudomułłowie zimno, z grymasem uśmiechu na twarzy pakowali im kulę w głowę, żeby ich uciszyć. (...) Chciałem szybko wyjść z tego obozu. Zgłosiłem się jako ochotnik na pierwszą linię do oddziałów, które miały wejść do Iraku. Nasze nazwiska zostały ogłoszone w przeddzień ofensywy i miały być nadane w komunikatach do narodu. (...) Chciałem być w tej pierwszej ekipie ochotników nie dlatego żeby odkupić swoje winy i przynieść zaszczyt mojej rodzinie. Chciałem opuścić Bostam, gdzie zobaczyłem najgorsze okrucieństwa...

Huszang (15 lat)

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

RAJDOWA ŠKODA GARDE-MTX 1600 RS

ŠKODĘ GARDE przedstawialiśmy już na łamach naszego kącika, dla przypomnienia podaję, że jest to wersja ŠKODY 120 z nadwoziem typu coupé, a więc o wyglądzie określanym popularnie jako sportowe. ŠKODA GARDE jest dwudrzwiowa z nieco zmodyfikowaną przednią częścią i zmienioną tylną częścią nadwozia opadającą stromo już za oknami bocznymi drzwi.

Właśnie na bazie szkieletu tego nadwozia w warsztatach Metalexu powstała nowa wersja rajdowa ŠKODY. O wytwórni Metalex pisaliśmy również przy okazji omawiania sportowych samochodów i motocykli naszych południowych sąsiadów. W tej wytwórni powstają prawie wszystkie samochodowe i częściowo motocyklowe pojazdy sportowe, na których startują zawodnicy tego kraju. Także w niewielkich ilościach sportowe bolidy ze znaczkiem MTX sprzedawane są do krajów obozu socjalistycznego. Myśmy zakupili małe partie samochodów i motocykli wyścigowych.

Do budowy tego rajdowego samochodu nie użyto wszystkich elementów nadwozia ŠKODY GARDE, gdyż powstały pojazd sportowy byłby za ciężki. W związku z tym część elementów wykonana jest z laminatów. Laminaty zostały też wykorzystane do wykonania wszystkich oprofilowań, w których skład wchodzą również przedni i tylny spoiler.

Zawieszenie kół zostało nieco zmodernizowane i wzmocnione – oczywiście wszystkie cztery koła pojazdu posiadają niezależne zawieszenie. Obręcze kół są odlewane ze stopów metali lekkich. Przy wszystkich kołach znajdują się hamulce tarczowe. Skuteczność ich hamowania jest regulowana przez kierowcę.

Nowa rajdowa ŠKODA oznaczona również symbolem MTX 1600 RS, wyposażona jest w silnik pochodzący z radzieckiej ŁADY, jest on umieszczony z tyłu, a napęd od niego przenoszony jest na tylne koła.

Silnik ten stanowi jednostkę czterocylindrową, chłodzoną płynem. Posiada on pojemność roboczą 1591 cm sześc. i rozwija moc 121 kW (165 KM) przy 7500 obr/min. i dużym stopniu sprężania, bo wynoszącym 11,6. Zasilanie w mieszankę paliwową odbywa się za pośrednictwem dwóch gaźników typu Weber 45 DCOE.

Z silnikiem współpracuje 4–przekładniowa skrzynia biegów pochodząca od seryjnej ŁADY typu WAZ-2106.

Ogumienie samochodu jest czechosłowackiej produkcji i pochodzi ze znanej firmy oponiarskiej Barum, stąd też na nadwoziu pojazdu znalazły się naklejki reklamujące tę wytwórnię.

Jak na razie rajdowa ŠKODA jest jeszcze prototypem wypróbowywanym na organizowanych w Czechosłowacji imprezach sportowych. Prototypowa ŠKODA MTX 1600 RS osiąga prędkość maksymalną 180 km/godz.

ZENON DUTKIEWICZ

Temat miesiąca: **Inwentaryzacja bocianów**

SŁOWO O „KLEKOCIE"

„Klekot", „Franek", „Wojtek", „Kałbatun",„Busioł", „Iwan", a nawet... „Kiszka"! Takie to nazwy nadaje naszemu swojskiemu bociowi ludność wiejska. Przynajmniej na terenie byłego powiatu Słubice, gdzie przed 20 laty pewien ornitolog przeprowadził inwentaryzację gniazd tych okazałych ptaków, dowiadując się zarazem – co też tu ludzie powiadają o bocianach i jak je nazywają. Wieści o bocianach zbierali ornitolodzy od dawna. Np. pierwszą inwentaryzację na terenie Galicji przeprowadzono z górą sto lat temu. Zostały nią objęte ziemie, które dziś częściowo należą do Polski. Ale wielokrotnie potem liczono bociany w różnych krajach, aż wreszcie zaczęto je liczyć w całej Europie. Dane nadsyłało tysiące ludzi – najczęściej z ornitologią ani w ogóle z nauką nie mających nic wspólnego. Polska wzięła udział w takim europejskim „spisie powszechnym" bocianów po raz pierwszy w 1974 roku. Teraz – po 10 latach – powtórzymy ten spis. Po co? Aby to wiedzieć, przyjrzyjmy się „bocianiej sprawie"...

Za co pan Bloesh dostał tytuł doktora honoris causa?

Nie, nie za to, że policzył bociany, tylko za to, że je reintrodukował. To znaczy wyhodował odpowiednią liczbę osobników, a następnie wypuścił na wolność. W ten sposób bociany zostały przywrócone Szwajcarii, gdzie uprzednio wyginęły, a pan Bloesh otrzymał od jednego z uniwersytetów zaszczytny tytuł.

Są więc, jak widać, kraje, skąd bociany zniknęły, bądź – gdzie są na wymarciu. Ot – choćby Dania, gdzie na przełomie XIX i XX w. było ok. 4 tys. gniazd bocianich, a dziś jest... dwadzieścia sztuk! Ostry spadek liczebności bocianów widać też w RFN i kilku innych krajach Europy zachodniej. Czyżby więc bocian był gatunkiem ginącym? Odpowiedź nie jest prosta. Tam, w wymienionych wyżej krajach – rzeczywiście jest. Ale w wielu innych mamy od lat ustabilizowaną liczebność. A jak jest u nas?

Polska specjalność

Bocian jest w naszym krajobrazie na szczęście zjawiskiem codziennym, nieodłącznie związanym z pejzażem naszej wsi. Dosłownie nieodłącznie. Rolnik jedzie kosić łąkę – bocian podąża za nim. Oczywiście nie z czystej przyjaźni, ale dlatego, że na świeżo skoszonym terenie łatwiej mu dopaść jakiegoś gryzonia czy inną zdobycz. Większość gniazd bocianich znajduje się w osiedlach ludzkich lub w ich pobliżu. W niektórych krajach, np. w Hiszpanii, bywają one nawet w centrum dużych miast.

Liczenie przeprowadzone w 1974 roku dowiodło, że żyje u nas ok. 29 tys. bocianów. Stanowi to jedną trzecią całej ich europejskiej populacji. Nie będzie więc wielką przesadą powiedzieć, że bociany – to polska specjalność. Pewien uczony, zajmujący się reintrodukcją tych ptaków na Zachodzie, zagadnął jednego z naszych badaczy: macie tyle tych bocianów – to nie moglibyście nam przekazać kilkunastu do hodowli?

Skoro mamy ich jeszcze dość dużo, to powinniśmy z tego skorzystać przede wszystkim sami. To znaczy – pilnie obserwować ten gatunek ptaka, zbierać o nim jak najwięcej danych. No i – chronić jak najskuteczniej, póki jeszcze czas.

Bowiem **dr Piotr Profus** z Krakowa, kierujący tegoroczną akcją liczenia bocianów, powiedział na jednym z roboczych spotkań, że spadek liczby tych ptaków jest nieuchronny. Wcześniej czy później zacznie ich ubywać, rzecz w tym, byśmy to w porę dostrzegli i – jeżeli to będzie możliwe – zaczęli przeciwdziałać.

Co im zagraża?

To, co większości innych, zwłaszcza dużych ptaków, Kurczenie się biotopów dogodnych dla ich bytowania, chemizacja środowiska. W różnych krajach z pewnością wygląda to nieco inaczej. Jednym z niebezpieczeństw czyhających na bociany, są np. linie energetyczne, których sieć staje się coraz gęstsza. W Niemczech np. na skutek kolizji z siecią energetyczną ginie 60 procent młodych bocianów, które dopiero niedawno osiągnęły zdolność do lotu. Ale – żeby wszystko było jeszcze bardziej skomplikowane – okazuje się, że linie energetyczne są też dla bocianów... korzystne. Bowiem coraz więcej tych ptaków buduje swe gniazda na słupach tych linii. Ta bociania „energetyczna moda" rozwija się ostatnio mocno w naszym kraju.

O szansach przetrwania ptaków decyduje też skuteczność ich rozmnażania. I tu – gdy idzie o bociany – mamy wiele ciekawych spostrzeżeń. Okazuje się np., że tam, gdzie jest duże zagęszczenie par lęgowych „Klekotów", mniej lotnych młodych opuszcza gniazda. Niemałe znaczenie mają też „bocianie wojny domowe". Stare ptaki niekiedy walczą o gniazdo – jeden stara się odbić drugiemu partnera i stać się panem (panią) już istniejącego domowego ogniska. Niestety, skutki na ogół są tragiczne: zniszczone gniazda, zabite młode, a często i stare bociany. Takich czynników, niekiedy dość zagadkowych i mało zbadanych, a mających wpływ na rozmnażanie bocianów – jest sporo. Zatem – musimy dokładniej je zbadać, by wiedzieć, co ptakom tym szkodzi, a...

...co – pomaga?

Pomagają przede wszystkim... ludzie. U nas mniej więcej trzecia część wszystkich gniazd bocianich jest zbudowana na fundamentach, wykonanych celowo przez ludzi. Takimi fundamentami są mocowane na dachach czy drzewach stare koła od wozów, zużyte brony, duże kosze, platformy zbite z desek (patrz – nasze zadanie kwietniowe nr 3). Wielkie znaczenie ma też po prostu sympatia, z jaką powszechnie spotykają się bociany – jak rzadko które ptaki. Wszakże to nie kto inny, jak bocian przynosi szczęście, a także... dzieci (dla niektórych na jedno wychodzi – ale nie dla wszystkich!)... Niemniej sympatia ta jest w dużej mierze bezinteresowna. Bocian ma wprawdzie pewne znaczenie gospodarcze, niszcząc szkodliwe gryzonie. One to – jako kaloryczny pokarm – stanowią jego ulubiony łup, znacznie bardziej upragniony niż żaby. Polskie bociany zjadają rocznie ok. 8 tys. ton pokarmu, w znacznej mierze gryzoni, a to już coś znaczy. Wątpliwe jednak, by ludzie tę „pomoc" doceniali...

Zresztą – prawdziwe korzyści, jakie przynosi nam jakiś gatunek ptaka, nie polegają wyłącznie na tym, że akurat jada on stworzenia, które jadają to, co... my jadamy! Ważniejsze jest, że stanowi on ogniwo, jakże korzystnej dla naszej gospodarki równowagi w przyrodzie. Wypadanie takich ogniw, ich ginięcie – oznacza zachwianie owej równowagi, o czym w „Klubie Ptakolubów" wiele razy pisaliśmy.

Chcąc zatem wiedzieć, na ile ta równowaga jest już zachwiana, na ile będzie niweczona nadal i czy czasem nie można by jej choć częściowo przywrócić – musimy zdobyć jak najwięcej danych o żyjących w środowisku organizmach. Czy ich przybywa, czy ubywa? Których szybciej i gdzie? Muszą to być dane bardzo liczne, a to wymaga dużej sieci obserwatorów. Skąd ich brać?

Gdy idzie o bociany – o takie dane stosunkowo nietrudno. Ptaki to okazałe, widoczne, znane, nie do pomylenia z innymi. w zbieraniu danych na ich temat może więc wziąć udział każdy człowiek dobrej woli...

Bądź nim i Ty!

TOMASZ KŁOSOWSKI

P.S. W artykule tym wykorzystano liczne dane, pochodzące od dr. Piotra Profusa.

Fot. **T. Kłosowski**

WYRUSZAMY NA BOCIANIE ŚCIEŻKI

„Klub Ptakolubów" będzie patronował akcji na terenie jednego województwa – warszawskiego. To pozwoli nam bliżej przyjrzeć się jak przebiegają badania na pewnym, ściśle określonym terenie. Będą tu działać członkowie warszawskiej Sekcji Ornitologicznej PTZol, zbierający dane z poszczególnych gmin. Oni to będą prowadzić szczegółowe obserwacje przy gniazdach, o których nam napiszecie.

Pragniemy, aby na wybranym przez nas terenie zadziałali i harcerze. Drużyny, ze względu na swą liczebność, jak i „tra-perskie" przygotowanie, mogą nam wiele pomóc. Udział w tego typu akcji – to znakomita okazja do zdobycia którejś ze sprawności przyrodniczych. Zwracamy Wam na to uwagę, druhowie drużynowi!

A teraz – **UWAGA HARCERZE, PTAKOLUBY I WSZYSCY MIŁOŚNICY PRZYRODY Z WOJ. WARSZAWSKIEGO!**

O każdym znalezionym przez Was gnieździe chcemy otrzymać trzy podstawowe wiadomości, już wymienione na str. 1, a tu przedstawione w poniższej tabeli:

Gniazdo Nr	„Adres" gniazda (gmina, miejscowość, ulica, nr domu itp.)	Na czym umieszczone jest gniazdo (na dachu, drzewie, słupie, kominie, stogu)	Czy wiosną '84 bociany odbywają lęg w tym gnieździe? (tak–nie)
1			
2			
3			

Ta wzorcowa tabelka jest jak widać przeznaczona do opisania trzech gniazd. Jeżeli obserwator lub drużyna znajdzie ich więcej – trzeba będzie zrobić większą wg tego samego wzorca. Wypełnione tabelki przesyłajcie pod adresem naszej redakcji, z dopiskiem na kopercie „Klub Ptakolubów". Niebawem – dalsze komunikaty! **(tok)**

Zasadnicza Szkoła Górnicza Nr 1 i 2 KWK „Zabrze–Bielszowice" ogłasza zapisy do klas pierwszych na rok szkolny 1984/85

Warunki przyjęcia:
- nie przekroczony 18 rok życia
- świadectwo ukończenia szkoły podstawowej
- dobry stan zdrowia stwierdzony przez lekarza zakładowego kopalni

Przy zapisie należy:
- złożyć podanie podpisane przez kandydata oraz jego rodziców lub opiekunów
- załączyć życiorys, dokument urodzenia
- za pośrednictwem dyrekcji szkoły zawrzeć umowę z zakładem pracy KWK „Zabrze–Bielszowice".

Zasadnicza Szkoła Górnicza kształci w zawodach:
- górnik technicznej eksploatacji złóż
- mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego
- elektromonter górnictwa podziemnego
- mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych

Kopalnia prowadząca szkołę zapewnia wysoką pomoc materialną, uczniom zamiejscowym zakwaterowanie w internacie oraz wyżywienie. Wszyscy uczniowie otrzymują codziennie posiłek regeneracyjny. Ponadto uczniowie otrzymują umundurowanie w klasie pierwszej i drugiej, ekwiwalent węglowy pieniężny, premię za osiągnięte wyniki w nauce.

W okresie ferii szkoła organizuje obozy wypoczynkowe w Krynicy Morskiej, Szczyrku, Gierałtowie, Karpaczu. Szkoła posiada doskonałe warunki do uprawiania sportu.

Ukończenie szkoły uprawnia absolwentów do:
- wstępu do 3 letniego technikum górniczego
- zaliczenia 1 roku do uprawnień jubileuszowych i urlopowych oraz wynagrodzenia z Karty Górnika.

Podania należy kierować pod adresem:
ZSG Nr 1 KWK „Zabrze–Bielszowice"
ul. Sienkiewicza 43, 41-800 Zabrze
ZGS Nr 2 KWK „Zabrze–Bielszowice"
ul. E. Kokota 169,
41-711 Ruda Śląska

(K-24)

„SŁONECZNY KOCIOŁ"

Największym kolektorem słonecznym w Europie Środkowej jest kolektor zamontowany na dachu jednego ze starych budynków w miasteczku Lubica (Czechosłowacja).

Składa się on z 72 płaskich elementów obudowanych szkłem. Pod szkłem biegną czarne rury aluminiowe, którymi przepływa woda.

W ciągu dnia „słoneczny kocioł" ogrzewa do 5 tys. litrów wody dla potrzeb technicznych i szklarni, dzięki czemu rocznie zaoszczędza się 65 tys. kWh energii elektrycznej.

(jz)

Autorem mojego portretu jest dziś **Piotr Uściński**, którego zapisuję do Rzepklubu.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!
Oto garść nadesłanych anegdotek:

– Kaziu, powiedz mi, co było w roku 1410?
– Ale heca, panie profesorze? To pan też nie wie?...

*

– Jeśli po południu będzie padało, to przyjdę wieczorem.
– A jeśli wieczorem będzie padało?
– To przyjdę po południu...

*

– Powiedzcie mi dzieci, skąd wiemy, która ręka jest prawa, a która lewa?
– Prawa, proszę pani, ma duży palec z lewej strony, a lewa z prawej.

*

– Ta wspaniała maszyna zastępuje pięciu robotników.
– A kto jej dogląda?
– Mamy tu do tego dziesięciu inżynierów...

*

– Jeśli z trzech desek zechcesz zrobić sześć, to jakie zastosujesz działanie?
– Piłowanie, panie profesorze...

*

– Gdzie jest herbata, kochanie?
– Ty nigdy nie umiesz nic znaleźć! Jest w apteczce, w puszce po kakao z nalepką „sól glauberska"!...

*

– Żywe karpie są?
– Są.
– A czy świeże?...

*

– Józiu, ustąp Małgosi, wiesz przecież, że mądrzejszy zawsze ustępuje...
– Ja nie jestem taki głupi, żeby zawsze być mądrzejszy!

*

Anegdotki nadesłał **Kazik Lewandowski** – członek Rzepklubu.

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

RZEPKLUB

— Nie idź cały czas za mną bo ona zacznie coś podejrzewać.

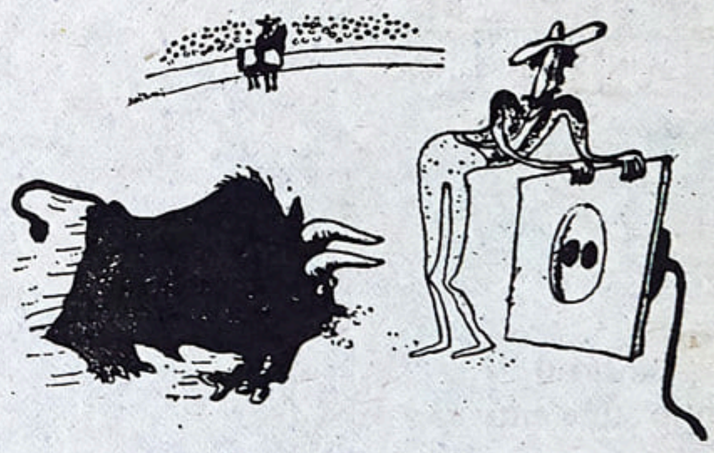

Zamieszczone obok żarty rysunkowe wyszperali: **M.M.M. Fiedziuk i Artur Wdowiak**, których zapisuję do klubu.

Obiad numer trzy:

Weź... etc. Trzy buraki – czytaj trzy garście kaszy. Jakie znasz jednostki... itd. ... garść. Rośnie, rośnie, coraz więcej tej kaszy... Kipi kasza, kipi... lepsza kasza... Smacznego. Jedzcie, kurki. Kasza jest zdrowa... Bo od kaszy boli brzuch, a od grochu człowiek zdrów! Tak właśnie!

Co tam, nauczę się. Spytam ciotki, czemu nie chciała mnie wpuścić do kuchni. Ona przy garnkach – na mojej głowie sprzątanie i szkoła. Podział pracy niby logiczny. Skutki? Święty Mikołaju, przynieś mi na Gwiazdkę książkę kucharską... Nie masz pieniędzy? Trudno. Dobrze, że mleko samo się gotuje, a jak przypilnować – nie wykipi. Wiesz, Ka, Katarzyno, jak nie lubię mleka...

* * *

– Proszę pani, a pani Wolińska powiedziała, że Danka jest głupia!
– Tak powiedziała, proszę pani! Prawda to?
– Danusia nie jest głupia. Jest mądra i zdolna, tylko czasem nie chce jej się uczyć. Leń za kołnierzem przeszkadza. Gdyby chciała... ho, ho! Pani tak tylko mówiła. Pewnie była zmęczona albo zdenerwowana, nie myśli tak naprawdę.

Uuu! Jaka dobra! Jaka cierpliwa, wyrozumiała i miła! Sam miód. Na długo tej słodyczy wystarczy?

Na trzy miesiące na pewno. Zapału, chęci zrozumienia też. Co dalej? Będzie czas na zmartwienie. Do ciotki nie wrócę.

Tymczasem raczkuję w dorosłym samodzielnym życiu, w zawodzie zupełnie przypadkowym jako po. nauczycielka, wychowawczyni i ewentualny chłopiec do bicia. Dlaczego? Katarzyno, zawsze można powiedzieć, że nowa pani (Ta Nowa) źle tłumaczy i w ogóle... Staram się jak diabli – i efekty są opłakane. Albo ja się nie nadaję, albo 20 procent uczniów otrzymało promocje za sam fakt istnienia. Proszę bardzo, oto wypracowanie Baśki:

„Adam Mickiewicz w tym wierszu opisuje, że w 1831 r. wybuchło powstanie listopadowe. Mickiewicz pisze, że Ordon wstąpił na działo, że jemu nie kazano strzelać, opisuje, że widzi przed sobą pole, na którym strzelają armaty. Na czele żołnierzy stał wódz, który prowadził tą artylerję. Adam Mickiewicz pisze że Redut Ordon był głównym bohaterem w tym wierszu. Opisuje że zabrakło już żołnierzom amunicji, a więc Ordon nie chciał żeby dostać się w ręce Rosjan, postanowił sam siebie zastrzelić. I wtedy Powstanie Listopadowe upadło. Adam Mickiewicz bierze tu pod uwagę Polaków, którzy tak dzielnie walczyli, i bronili się"

Żyjesz jeszcze? Słuchaj dalej!

Rzeczownik odpowiada na pytanie kto co? Kto co? Piec. Kto co? Gospodarz.

– Litości! – wołam. – Jeżeli kto? – to nie piec, jeśli co? – to nie gospodarz! Zrozumcie!!! Gospodarz to rzeczownik osobowy, określa człowieka, stąd pytanie – kto? Kto? – Gospodarz, uczeń, matka, koleżanka, kolega. Co? – piec, deska, las, żrebię – rzeczowniki nieosobowe. Alu, teraz ty, proszę...

– Kto? co? okno. Kto? co? pani nauczycielka...

Myślcie. Zastanówcie się. Uważajcie. Powiedz. Napisz. Czytaj. Usiądz. Przestań. Przestań myśleć i pisać o szkole. Jesteś nudna jak lukrecja z cebulą (?). Waga. Jadłaś, Ka, lukrecję z cebulą? Ja tylko cebulę ze smalcem.

* * *

Kochana Ka!

Przepraszam Cię. Już więcej nie będę o szkole...

Czy ja Ci piszę ciągle, wiecznie, stale i bez końca o szkole? Nie wiedziałam. Nic sobie nowego nie kupiłam. Nie byłam na zabawie. Tu nie ma zabaw, Katarzyno. Kina też nie ma. Naprawdę się nie nudzę. Bachory nie są wstrętne, na przykład Jadźka od wściekłej krowy jest... Jeszcze nie wiem jaka. Bardzo ją lubię. Joasię też. Joasia to poemat i niebieska niezapominajka nad wodą. Jadźka – zapach mięty i rżysko pod lasem. Ale jak już umiesz po nim chodzić – przyjemnie. Boso naturalnie.. Coś nie tak. Gdzie mi do Twoich zdolności, Katarzyno! Twoje porównania – to były porównania! Pacynka była szczęśliwa. Kaśka z dziesiątej – mówiła i miażdżyła nas wzrokiem. Nas – jedenastą a. Niedawno, sto lat temu.

Praca domowa – ułóż i napisz pięć zdań z porównaniami.

Pies zaryczał jak krowa.

Pod Arabową z żałości załamały się nogi jak... – Dalej nie wiedziałem, ale „jak" jest, o, Pani patrzy, nie oszukuję.

Cdn.

piętnastoletni KAPITAN

Według Juliusza Verne'a
Tekst i rysunki Tadeusz Raczkiewicz

17

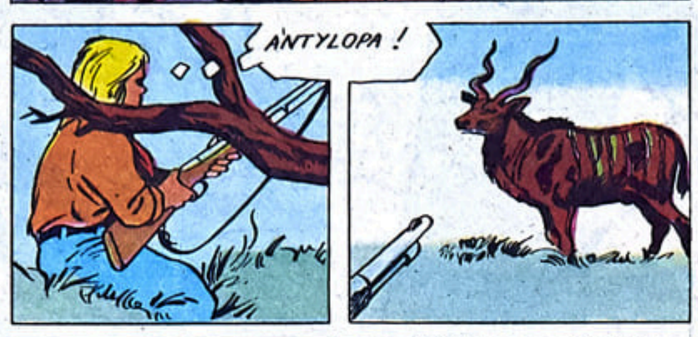

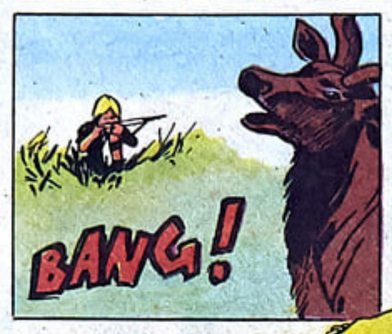

WTEM Z ZAROŚLI WYSKOCZYŁ LEW.

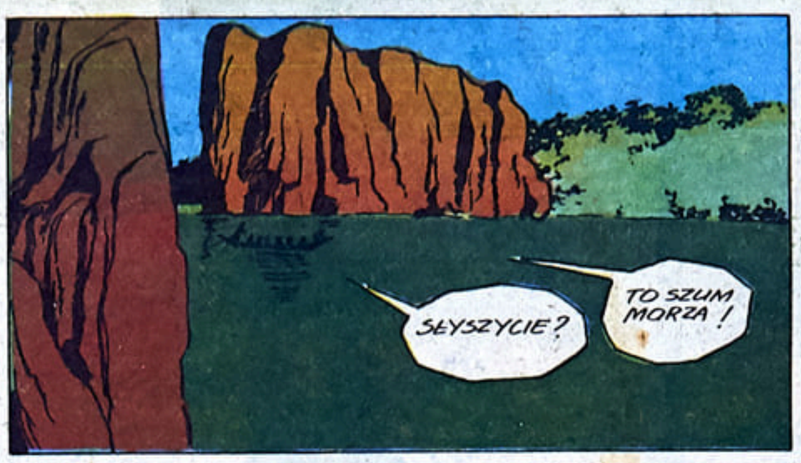

POTĘŻNYMI UDERZENIAMI WIOSEŁ, ŁÓDŹ ZOSTAŁA SKIEROWANA DO BRZEGU

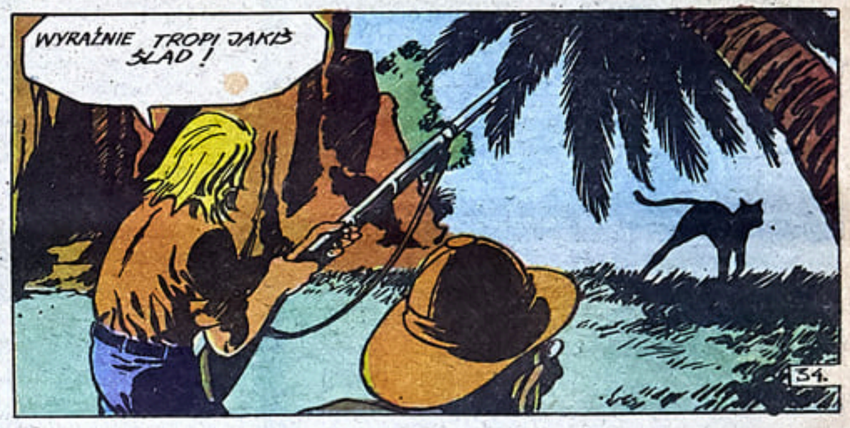

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Ukazuje się od 1949 r.
Nr 50 (3824)
wychodzi
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (zastępca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch". Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Barbara Zając
Korekta
Bianka Abratowska-Lisowska
Nakł. 500 000
DRUK Zakłady Graficzne
Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 1418/G. T-34

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

ROZMAWIAJĄ dwaj nauczyciele:
– Wczoraj wysłałem do domu Kowalskiego, bo był niedomyty, a dziś przyszła mi brudna do szkoły cała klasa...

★

DZIADEK DAJE wnukowi „życiowe" rady:
– Pamiętaj, Grzesiu, jeśli chcesz być dobrym człowiekiem, żebyś zawsze był konsekwentny i ostrożny.
– Konsekwentny, to jak, dziadku?
– No, żebyś zawsze dotrzymywał tego, co obiecasz...
– A ostrożny?
– Żebyś nigdy nic nie obiecywał!

Czuję się fantastycznie! Załączyć obrazek? Co za piękny dzień! Już poniedziałek! Jeszcze trzy niecałe tygodnie do naszego spotkania! Huraaaa! Dzięki za list! Czytałam jednym tchem niczym sentymentalna pensjonarka, jak Ania Jakjejtam listy od Gilberta. Mam szumiące topole za oknem, Ty nie jesteś co prawda Gilbert, ale to nic (auu! robię się gruboskórna!), czytałam równie zachłannie. Powiedz Pacynce, że ją uwielbiam, i że też (jeśli można) całuję. Przekaż cmok Alkowi. Pozdrów kogo chcesz...

* * *

Sukces, Katarzyno! Już nie jestem Nowa, ta Nowa. Jestem Marianna. Jak Ci się podoba? Vive la France! Ale to nie te koneksje, koligacje, czy co chcesz. Marianna po prostu. Dlaczego tak? A bo ja wiem? Przysięgam, że o tej z Brazylii tylko wspomniałam przy okazji życie i twórczość M.K. Przypięli łatkę na wieki wieków. Zostałam Marianną. Dobre i to. Nie znaczy nic. A może? Skwitowali tym złożonym imieniem moje sandały, warkocz i metrykę. Zmienią etykietkę jacyś inni, kiedyś tam, gdy wyrosnę z tych niepoważnych rekwizytów. Co ja plotę! Nie zmienią, bo mnie tu nie będzie! Przecież to tylko trzy miesiące.

Co robię teraz? Siedzę. Siedzi sobie Turek i myśli – żeby do mnie jacyś goście przyszli... Stuk, puk. Kto tam? Goście. Świerszcz! Najprawdziwszy, cyka w kątku. Mój zielonobury, dzień dobry, dobry wieczór.

Doba ma sto godzin. Sto godzin jestem w szkole i sto godzin zostaje do rana. Sto plus sto równa się sto. Jak to się dzieje, nie wiadomo. Najgorzej, że nie mam radia. Ale co tam, rekompensuje mi ten brak kufer Pani Kierowniczki i biblioteka na podłodze w pokoju numer dwa. Kufer, a raczej jego zawartość ciekawa. Choć sam mebel też niczego sobie. Kniaź Sierlebrannyj. Kaniec krojcerowskoj sonaty. Pawlikowska. Askenazy. Krzywicki. Tetmajer. Dołęga i Mostowicz, profesor i Wilczur. Sztuka uprawiania ogrodów. Rocznik gospodarczy. Fotograf amator. Kalendarz na rok 1933. Przewodnik po grochu z kapustą. Niech żyje kufer! Na dnie – Marja Julja Zalewska z młodym wygnańcem, prawie pod dnem – kult ciała. O ciotko moja!

Nic to, jest jeszcze szafa – muzeum. W szafie albumy oprawne w skórę. Sztuk sześć. W nich reprodukcje obrazów tych znanych i mniej. Kolorowe i pachnące zapomnieniem kartki. Rusałki. Szał (Podkowiński). Andriolli, Malczewski, pikiety, ułani, trojki i burłacy, miss Polonie i czarne jagnięta. Gubię się trochę w tym co dobre, co mniej, co wcale. Pani Matejkowa w ślubnej sukni w każdym razie przepiękna. Oglądam wszystko. Pożółkłych bilecików, miłosnych wyznań jakichś nieznanych do pięknych ukochanych nie czytam. Odkładam na miejsce. Zastanawiam się, czemu to wszystko, ot, tak sobie, zostało. Tymczasem oglądam. Czytam. Nie nudzę się. Jeszcze.

I gotuję! Arkana sztuki kulinarnej, list pierwszy, najwonniejszy i wręcz smakowity. Weź szczyptę soli, jajek dwa, rynienkę. Sól jest. Jajka – jedno. (Potrząśnij!) Nie bulgocze w środku, można smażyć. Panno Wando, dosypać trzeba trochę mąki, wlać wody, będzie cała góra jajecznicy. Co tam trochę. Jeśli już ma być góra, niech będzie co najmniej Gubałówka. A jeszcze lepiej Giewont. (Rycerze, nie wstawajcie, dla was nie starczy). Rynienka... Jest. Smacznego. Ściskoszczęk. Szczękościsk. I co Ty na to?

Popis numer dwa Improwizacja a'la barszcz. Weź trzy buraki, do garnka (garnek mam!) wlej wody, może być litr. Wrzuć buraki (obrać je czy nie? obiorę dwa, jeden wrzucę z łupiną, albo nie, dwa z łupiną, jeden bez), wsyp soli (szczyptę). jakie znasz jednostki pojemności – ciężaru? Litr, hektolitr, decymetr sześcienny, gram, kilogram... szczypta! Gotuj buraki do miękkości, okraś, przyprawy. Smacznego. Gardłościsk.

Dokończenie na str. 7